

Ewa Maria Serafin

Przestrajanie wyobraźni

O książce Stanisława Stanika „Wspomnienia, eseje, wiersze”

Najnowsza książka **Stanisława Stanika** składa się z trzech części, o czym informuje tytuł „Wspomnienia, eseje i wiersze”. Formalne zróżnicowanie tekstów nie przesłoni jednak faktu, że wszystko w tej książce zostało podporządkowane intencji przekazania ważnego życiowego przesłania. A sposób, w jaki to czyni autor przypomina misterium, w którym pokonujemy kolejne progi wtajemniczenia. Owo przesłanie odnajdujemy już wtedy, kiedy Stanisław Stanik przygląda się swojej przeszłości [w tym spojrzeniu jest nostalgia i nieukrywana tęsknota], chociaż dociera ono do nas mimochodem – niejako za pośrednictwem zmysłów. To one wyławiają wszystkie smaki i obrazy wiejskiego życia, które jeszcze wtedy, przed nadejściem ery telewizji i internetu, toczyło się w harmonii z naturą.

Bardziej wyraziście nadrzędna intencja autora ujawnia się we współczesnych refleksjach, ujętych w formę esejów oraz tych, którym nadał kształty poetyckie – a dotyczących ludzkiej egzystencji w różnych jej aspektach.

Uroki dzieciństwa, cały katalog radości czerpanej przed laty z wszelkich form działania roztacza Stanisław Stanik w części pierwszej, to znaczy we „Wspomnieniach”. Wraca w nich do swoich najwcześniejszych przeżyć i doświadczeń, zabaw z rówieśnikami, psot i figli na tle niezapomnianych małoszyckich krajobrazów, gdzie, jak pisze [...] cała przyroda okazywała się dla mnie świątynią równowagi i świeżości [...]. To apel, byśmy cieszyli się życiem, zachwyti nad istnieniem, wyrażony właściwym dla tego autora językiem poetyckim, nieco archaizującym, niejednokrotnie nasyconym regionalizmami. Niejako przy okazji, poznajemy opowiedzianą z nostalgią historię rodziny autora i dowiadujemy się, że wcześniej został poetą: [...] Bawiłem się w teatr, może w przebierańców, jakich spotkać było można na weselach, na ociepinach. W ruch szły płaszczki, kapoty, stare swetry, gumowe buty, filce – wszystko co przydawało nowego wyglądu. Byleby się różnić! Zmieniałem ubiór za ubiorem, nie dbając o jego ułożenie w należyty porządku. Nic dziwnego, że ojciec, który mnie przy tym „przestrojeniu” zastał, znalazł jeszcze jeden dowód mojego niezrównoważenia. A ja? Cóż ja, szybko pobierałem ubranie i zacząłem składać na swoim miejscu. Nic to nie pomogło. Teatr trzymał się mocno w mojej głowie. Niebawem, już z braćmi ciotecznymi z Łodzi, Tadkiem i Staszkiem, zagraliśmy strojami na całego piwnicę przy świeżo murowanym budynku obory, a w zabawie gablami przy kartoflach improwizowałem rymowane wiersze. Wcześniej zostałem poetą. Ale wierszy jeszcze mało zapisywałem [...].

Bo to był jeszcze czas czerpania radości z zupełnie innych pasji i zamiłowań.

[...] Moim największym upodobaniem od czasów dzieciństwa było zbieranie grzybów [...] Na przełomie sierpnia i września lasy były szczególnie grzybne. Lubiłem samemu wybrać się na zbiór, biorąc ze sobą wiaderko, kociołek lub koszyk. Razu pewnego, nad paprocią, tuż przy drodze na łąki, natknąłem się na wysypisko prawdziwków. Zbierałem je, a błogość nie miała we mnie granic.

Szedłem przed siebie, a tu jakiś okaz borowika [prawdziwka] stawał na mojej drodze. Wdzięczny byłem Stwórcy, że tak obficie mnie nagradza, że taki plon nie zysła. Upadałem na klęczki i obcinałem trzon grzyba. Kiedy nawet oczu nie podniosłem, wyczuwałem następnego, same kolana mi się osuwały na ziemię, padałem na ziemię i z wdzięczności dziękowałem Panu, że tak mnie kocha [...].

Wiejskie życie toczyło się w zgodzie z „całorocznymi obrzędami”. W Święta Wielkanocne były rezurekcje, dyngusy, wesela, na których [...] Smutek przechodził w radość, radość ustępowała miejsca refleksji. Wesele miało jak życie, urozmaicone, wielobarwne. Najważniejsze, żeby wszyscy czuli się pogodzeni i zadowoleni, niesnaski powinny ustąpić. [...] W inne większe święta były odpusty w Studziannej, położonej niedaleko Małoszyc a słynącej z cudownego obrazu. W Zielone Świątki, na Matki Boskiej Zielnej i na św. Michała [...] w trakcie odpustu paradowało się po gradusach [kocie łby] z przewieszonymi obwarzankami i kupowało gwizdki, piłki z trocinami, lody, cukierki. [...] było wesoło i ciekawie [...].

Kiedy nadszedł czas, by podjąć obowiązki ministranta, co autor wspomina jako rzecz oczywistą – na niesienie mszału, polewanie rąk księży wodą i podawanie im wina, podnoszenie kadzidła z rozżarzonymi węglami do ołtarza. Był to czas, kiedy ludzie naprawdę lgnęli do kościoła – czas radości, którą przynosi służba Panu Bogu.

Kosiarzem – jak pisze Stanik – zaczął być nieco później, w starszych klasach szkoły podstawowej. [...] Zboża wszystkie bez wyjątku ścinano kosą, z osetką i pierścieniem. Przymierzony do niej był pałak z kawałkiem materiału płóciennego. Trzeba było siły, uporu i stanowczości, aby skosić szybko zboże. [...] Szedłem pochylony z kosą i ciąłem u spodu, po kowiach, zboże. Za mną szedł podbieracz, przeważnie brat Marian i wiązał ściętą słomę w snopy. Najcięższe prace spotykały nas na Przedatku, gdzie paliło słońce, a pot lał się z nas strumieniami. Do zjedzenia mieliśmy jajka bądź chleb z omastą, żadnych delicji. Gdy snopy leżały pokotem nadchodził czas kopienia. Ustawialiśmy w kopcach [mendle bądź mniejsze kopy zwane lusami] po 12-15 snop-

ków i gdy zboże stanęło w kopcach pod wieczór, wracaliśmy zadowoleni do domu. [...]

Ten czas przyniósł radość czerpaną z dobru wykonanej, ciężkiej pracy, a później – z kosztowania jej plonów.

[...] Szczególnie smakował – jeszcze latem – pierwszy chleb. Mama piekła go z mąki, przerobionej u młynarza, z dopiero co otrzymanego żyta. Pachnące bochny opuszczały piec domowy, a gdy się je pałaszowało, bracia pociągali za uszy delikwenta, jeśli spożywał coś po raz pierwszy w danym roku. Takie były zwyczaje na wsi. Całkiem osobna historia to ogniska późnym latem i jesienią. Palono je przy pasieniu zwierząt. Ponieważ akurat dojrzewały kartofle, pieczono je i smakowano z całą rozkoszą, czasem z masłem. Jesień to już był czas pełni życia fizycznego. [...] Chleb z mlekem, często z cukrem, niekiedy maca bądź ciasto pieczone na blasze kuchni, oto było codzienne pożywienie. Rano jadło się także ucha z barszczem z buraków czy z grzybami, na obiad – kasza, jakaś wytrawniejsza zupa czy danie mleczne. Jedzenie było mało urozmaicone, niekiedy czuło się głód, a o przekarmianiu czy za dużym brzuchu nikt nie mówił. Chuderlawy wygląd zapewniał spryt i siłę.

Dnie były coraz zimniejsze, chwytaly przyzmrozki. Należało ostatecznie zabezpieczyć się przed zimą. Do obór zwożono ściółkę z lasu, grabioną z igliwia sosen. Rozścielano nią kojce. Pod oknem ojciec układał przyzme ze ściółki, liści drzew i słomy, przyzme do ogacenia okien. W sadach zakładał chochoły, żeby drzewa owocowe nie pomarzęły, albo nie dostały parchów. Chronił je także przed napaściami żącej, które ogryzały korę. A na podwórko zaglądali już pierwsi goście. Pojawił się lis, wychodził dzik, w norkach roiło się od dzikich królików. Lasy i pola jeszcze były naturalnie rodne, pachniało naturą.

Czytając wspomnienia Stanisława Stanika niemal odczuwamy owe smaki i zapachy, podziwiamy ówczesną radość autora, który teraz, po latach próbuje zbliżyć się [a nam pozwala w tym uczestniczyć] do tego, co nazywamy tajemnicą istnienia.

Swoistą cezurę, która dzieli część wspomnieniową książki od pozostałych, to znaczy esejów i wierszy a jednocześnie przynosi czytelnika we współczesność – stanowi kilkanaście czarno-białych fotografii, które zamieścił Stanisław Stanik jako „Zdjęcia moich przyjaciół”. Występuje na nich w towarzystwie postaci znanych w środowisku literackim i zazwyczaj w okolicznościach związanych z życiem tej jakże szczególnej, zarażonej „sztuką słowa” gromady ludzi. To ich uważa Stanik [którego ja z kolei pozwa-